

Karolina Żurawska

Miłość, której świadkiem były wody Narwi

*Któż to ci powiedział,
że nie ma już na świecie
prawdziwej, wiernej,
wiecznej miłości?*

*A niechże wyrwą temu
kłamcy jego plugawy język!*

(Michaił Bułhakow)

Ciemność zapanowała nad Kalinowem. Noc rozpostarła swój czarny płaszcz nad okolicą i ukołysała jej mieszkańców do snu. Tylko nieliczne lampy, ciągnące się wzdłuż głównej wiejskiej drogi i jasno świecący księżyc, odbijający się w wodach płynącej nieopodal Narwi, dawały złudzenie jasności. W niektórych domach paliły się światła, a przez prześwietlające firanki, można było dojrzeć tych, do których sen nie chciał przyjść. Chorego, którego noc nie była w stanie nawet na chwilę uwolnić od bólu. Matkę, uspokajającą płaczącą niemowlę. Dziewczynkę, bojącą się ciemności i, kojarząc się z nią, samotności. Starszego mężczyznę, palącego papierosa i patrzącego w niebo. Może kłębiące się w jego głowie

myśli były zbyt ciężkie i przygniatające, aby we śnie mógł odnaleźć ulgę?

W środku wsi znajdował się duży murowany dom, którego cegły nigdy nie zostały pokryte tynkiem i kolorem, choć mała, metalowa flaga na szczycie eternitowego dachu informowała, że budynek został wzniesiony w 1992 roku. Również w nim paliło się światło. Paliło się przez całą noc, co roku, w ostatni dzień maja od wielu lat. Jeśli zapytać kogoś z tutejszych, od jak dawna właścicielka domu czuwa w tę jedną noc w roku, każdy odpowiedziałby, że odkąd dom został zbudowany, ale, oprócz samej zainteresowanej, nikt nie wiedział dlaczego.

Diana Karkowska siedziała na krześle przy biurku, znajdującym się naprzeciwko okna, ale była tak niska i drobna, że obserwator z zewnątrz musiałby wytężyć wzrok, aby ujrzeć zarys jej sylwetki. Kobieta pisała coś na kartce powoli, z widocznym wysiłkiem, drżącymi i mocno zniszczonymi dłońmi, obciążonymi pomarszczoną skórą. Na pewno nie należały do wysoko urodzonej panienki z dobrego domu, raczej do chłopki. Jej przygarbiona postać zdradzała, że większą część życia spędziła, schylając się ku ziemi. Twarz pokryta była niezliczoną siecią zmarszczek i poorana bruzdami, spośród których patrzyły szare oczy. Wpatrywały

się w ciemne niebo. Co takiego wydarzyło się w któryś ostatni dzień maja w jej życiu? Dlaczego te wspomnienia nie dawały jej spać?

Pisanie sprawiało kobiecie ogromny wysiłek, słowa i zdania wychodzące spod jej ręki, przypominały te, pisane niewprawną ręką dziecka. Ale Diana się tym nie zrażała. Czuła potrzebę opowiedzenia swojej historii. Nie chciała, żeby człowiek, który kiedyś, w strasznych, wojennych latach był dla niej światłością i miłością, został zapomniany przez jej milczenie.

W 1939 roku całe moje dotychczasowe życie się zmieniło. Beztroska i szczęście zostały brutalnie przerwane wybuchem wojny. Zastąpiły je: strach, lęk i cierpienie. Ukochany ojciec poległ w obronie Wizny, bracia zaginęli gdzieś w wojennej zawierusze. Zostałam sama z matką i babcią. Było nam ciężko. W takich czasach kobiety nie powinny być bez mężczyzn, choć to właśnie wojny im ich odbierały.

Łomża, a wraz z nią Kalinowo, znalazły się w sowieckiej strefie wpływów. W okolicy pojawili się radzieccy żołnierze. Stacjonowali w mieście, ale wielu z nich było zakwaterowanych także w Kalinowie, Drozdowie, Niewodowie i innych wsiach. W naszej miejscowości mieszkało około piętnastu żołdaków. Zajmowali dwa duże

domy na końcu wsi, które po wrześniu 1939 roku stały puste. Nikt nie wiedział, co się stało z mieszkającymi tam rodzinami. Wojna sprawiła, że każdy martwił się o najbliższych, dopiero później docierało do niego, że wielu znajomych twarzy, już nie zobaczy. Starsi ludzie, w tym moja babcia, mówili, że lepiej, iż są tu Rosjanie niż mieliby być Niemcy. Pamiętali poprzednią wojnę i czasy, gdy nie mieliśmy swojego państwa. Te ziemie były wcześniej rosyjskie, więc chcąc nie chcąc, ludzie często obcowali z Rosjanami, znali ich język i choć czuli się Polakami, byli też obywatelami Cesarstwa Rosyjskiego i poddanyimi cara. Babcia często opowiadała, że po wybuchu ostatniej wojny Polacy, bojąc się pochodu Niemców na wschód, uciekali do Rosji, mając nadzieję, że tam będą bezpieczni. Rosjanie to byli swoi. I choć minęło dwadzieścia lat, odkąd babcia stała się obywatelką wolnej Polski, zawsze z jakimś niezrozumiałym dla mnie rozrzewnieniem, wspominała dawne czasy. Nie zmieniło się to nawet po wojnie 1920 roku.

Nie zgadzałam się z babcią ani z tymi, którzy myśleli jak ona. Czułam gniew – Rosjanie najechali moje rodzinne strony i zadomowili się tu. To był zwykły bandytyzm. Często do naszego domu docierały informacje, że jakaś młoda dziewczyna została zgwałcona przez czerwonarmistę, pobita albo postrzelona. Ludzie przekazywali sobie z ust do ust pogłoski o tym, że w Łomży i sąsiednich wsiach radzieccy żołnierze włamywali się do domów i zabierali wszystko, co wpadło im w ręce, nie zostawiając mieszkańcom nawet kawałka chleba. Czuli się tutaj panami. Słyszano o tym, że po jakąś rodzinę przybył w nocy konwój i zabrał ją w nikomu nieznanne miejsce.

U nas, o dziwo, było spokojnie. Żołnierze, którzy stacjonowali w Kalinowie, nie zajmowali się gwałtem i rabunkiem. Raczej nas ignorowali, a my, stopniowo

przyzwyczajając się do ich obecności, także zaczęliśmy ich ignorować. Nikomu niczego nie zabierali siłą, ale często kupowali od nas np. jedzenie. Płacili pieniędzmi albo ofiarowywali jakieś przedmioty na wymianę. Do mojej mamy często przychodziło dwóch żołdaków i brało od niej ziemniaki. Odkąd się pojawili, nigdy nie wychodziłam poza swoje podwórko sama. Zawsze z kimś. Bałam się strasznie, że któregoś dnia natknę się na jakiegoś żołnierza. Na myśl o tym włosy stawały mi dęba, ale na szczęście nic się nie działo, przez długi czas udawało mi się unikać spotkań z nimi.

Dlaczego byli inni, a ich zachowanie stanowiło przeciwieństwo tego, co słyszało się o postępowaniu żołdatów z innych wsi? Jeden ze starszych sąsiadów powiedział mi, że to oficerowie, których większość pochodziła z miasta, Petersburga albo Moskwy. Przekonywał, że to porządne chłopaki, wychowane, a nie jakaś chłopska hołota, która po rewolucji zaczęła odgrywać rolę panów.

Któregoś dnia spacerowałam z moją przyjaciółką Marią po łąkach nad Narwią. Był koniec maja 1940 roku i był to pierwszy, naprawdę ciepły dzień, gdy można było ubrać się w lekką sukienkę i cieszyć się promieniami słońca. Pozwoliło nam to na chwilę zapomnieć o wszystkim, co się wokół nas dzieje. Nieopodal dziadek Marii i kilku sąsiadów łowiło ryby, więc czułyśmy się w miarę bezpiecznie.

W pewnej chwili usłyszałyśmy szczekanie psa. Obejrzałam się i zobaczyłam, że w naszą stronę biegnie wielki owczarek niemiecki. Wystraszyłyśmy się, ale im bardziej pies zbliżał się do nas, tym robił się spokojniejszy. W końcu przysiadł przy nas, wesoło machając ogonem. Zaczęłam go głaskać. W pewnej chwili usłyszałyśmy:

– Diewuszki!

Maria chwyciła mnie ze strachem za rękę. W naszą stronę, szybkim krokiem szedł czerwonarmista.

– Chodźmy stąd – szepnęłam przez zaciśnięte zęby.

– Izwinitie, diewuszki. Wziął mi uciekl. Mam nadzieję, że was nie wystraszył.

Przed nami stał żołnierz. Był wysoki, miał czarne włosy i chyba tego samego koloru oczy. Patrząc w nie, widziałam ciemność i, choć byłam przerażona, zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, żeby ktoś miał czarne oczy. Patrzył na nas z lekkim rozbawieniem. W mojej głowie natychmiast zaczęły się pojawiać najgorsze scenariusze. Dlaczego dziadek Marii i sąsiedzi, którzy łowili z nim ryby, nie idą nam z pomocą? Przecież widzą, że jesteśmy sam na sam z żołnierzem. Byłam odrętwiała ze strachu. Jakby z oddali usłyszałam głos Marii, mówiącej żołnierzowi, że nic się nie stało.

– Mienia zawut Iwan. Izwinitie, nazywam się Iwan – zaczął się gubić w słowach, przeplatając rosyjskie słowa polskimi i próbując przerwać niezręczną ciszę. Czy nie lepiej byłoby, gdyby po prostu sobie poszedł? Po co próbuje wdawać się z nami w nikomu niepotrzebne pogawędki?

– Jestem Diana, a to Maria – odpowiedziałam, jakby z przymusu. Mimo wszystko, byłam dobrze wychowana i wiedziałam, że gdy ktoś się przedstawia, wypada się zrewanżować.

W odpowiedzi wyciągnął do nas dłoń. Kiedy dotknął mojej, uderzyło mnie, jak bardzo była ciepła. Mnie, ze strachu, zlodowaciały ręce. On tylko się uśmiechnął i potarł ją, jakby chcąc ogrzać. Fakt, to było śmieszne, żeby pod koniec maja mieć ręce zimne jak lód.

– Dziewczynki, to Pietrow! Opowiedałem wam o nim. Walczyłem w 1916 roku z jego ojcem. Jaki ten świat mały, że też akurat w moje strony, po tylu latach, przywiato jego syna. Widzę, że się poznaliście. Maria to moja wnuczka – zaczął chaotycznie wyjaśniać dziadek Marii, który

pojawił się przy nas nagle, klepiąc żołnierza po plecach.

Byłam wściekła na dziadka. Jak on mógł tak się z nim spoufalać. To przecież Rosjanin, nasz wróg, a on traktował go jak najlepszego przyjaciela.

Kilka dni później, bawiłam się na podwórku z kotem, gdy pojawiło się dwóch żołdaków. Przyszli po ziemniaki. Poruszali się tak bezszelestnie, że zauważyłam ich dopiero, gdy jeden z nich się odezwał.

– Diana?

Odwrociłam się i zobaczyłam tego samego mężczyznę, którego spotkałam nad rzeką. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to że zapamiętał moje imię.

Diana oderwała się od pisania i odłożyła długopis. Wspomnienia sprawiły, że jej twarz stała się jakby młodsza, a oczy pełne życia. Dzień, w którym spotkała Iwana po raz pierwszy nad Narwią, był ostatnim dniem maja. Choć wtedy nie podejrzewała, że będzie to jeden z najważniejszych dni w jej życiu. Spotkała wówczas swoją pierwszą, może tak naprawdę jedyną, prawdziwą, miłość. Wbrew rozsądkowi, własnym przekonaniom i logice, zakochała się w Rosjaninie.

Przestałam się ukrywać, gdy On przychodził do mojej mamy. Zaczęliśmy coraz więcej rozmawiać. Często spacerowaliśmy nad Narwią.

Pewnej czerwcowej soboty, oficerowie zorganizowali małą zabawę. Przyjechało kilku żołnierzy z innych wsi i miasta, zaproszono także kilku naszych sąsiadów. W tym oczywiście dziadka Marii. Siedziałam w domu z mamą i babcią, gdy usłyszałyśmy pukanie do drzwi. Stał w nich Iwan. Wtedy pierwszy raz przyszło mi do głowy, jak bardzo jest przystojny. Coś zatrzepotało mi w piersi, kiedy zapytał, czy pójdę z nim na tańce. Chciałam się nie zgodzić, ale coś mnie do niego przyciągało. Zaimponowało mi to, że zapytał moją mamę, czy

może mnie zabrać. Byłam bardzo młoda i nie miałam żadnych doświadczeń z mężczyznami, ale wiedziałam, że jego zachowanie świadczyło o dobrym wychowaniu. Może jednak sąsiedzi mieli rację mówiąc, że nie wszyscy ci żołnierze byli źli. Może większość z nich, w tym Iwan, została po prostu rzucona w wir historii, aby walczyć nawet nie za swoją sprawę, ale za sprawę kogoś innego?

Wtedy pierwszy raz chciałam się komuś podobać. Chciałam podobać się Jemu. Pamiętam, że włożyłam swoją najlepszą sukienkę, w której przed wojną chodziłam do kościoła. Czułam się szczęśliwa, kiedy podał mi ramię i szliśmy razem ulicą. Jeszcze miesiąc temu, myśl o takiej sytuacji napawała mnie przerażeniem. Gdzieś tam na świecie szalala wojna, ginęli ludzie, nie wiedziałam, co się stało z moimi braćmi, ale On był przy mnie. Na podwórzu jednego z domów, w których kwaterowali żołnierze, zorganizowano stoły z symbolicznymi przekąskami. Każdy przynosił co miał, więc nie było tego wiele. Ci, mający talent muzyczny śpiewali i grali rosyjskie oraz polskie piosenki. Zastanawiałam się, skąd wynaleźli instrumenty. Może były własnością poprzednich gospodarzy tego domu? Ze zdziwieniem odkryłam, że zebrano pół wsi. Chowając się przez długi czas w domu, nie zauważyłam nawet, kiedy większość naszych sąsiadów i znajomych zaakceptowała istniejący stan rzeczy i starała się wypracować w miarę poprawne relacje z żołdakami. Z perspektywy czasu myślę, że wielu pogodziło się z upadkiem, odrodzonej zaledwie dwadzieścia lat wcześniej, Ojczyzny i myślą, że znowu staliśmy się częścią Rosji. Większość z nich przecież doskonale pamiętała tamte czasy. Być może, spędzając czas w gronie tych młodych żołnierzy, wspominali dawne przyjaźnie, zawarte z Rosjanami lub służbę w wojsku carskim.

Iwan doskonale tańczył. Był niezwykle kulturalny i szarmancki. Obawiałam się, że przyprowadzi mnie tu i zostawi samą sobie. Ale nie. On naprawdę wybrał mnie na swoją towarzyszkę tego wieczoru.

Mijały dni i pory roku. Zżyliśmy się ze sobą i staliśmy się nierozłączni. Czułam smutek, kiedy na jakiś czas wracał do Rosji. Zawsze miałam z tyłu głowy myśl, że mnie zostawił. Nie miałam odwagi spytać, czy ktoś tam na niego czekał. Może miał jakąś dziewczynę? Chyba nie, skoro zawsze do mnie wracał.

Dochodziły do nas odgłosy wojny, słyszałam, że jakaś rodzina kogoś straciła, ale wszystkie te informacje wydawały mi się odległe, rozmazane. Wiem, jak to zabrzmiało, ale byłam w tamtym czasie bardzo szczęśliwa. Czasem myślę, że to grzech, kiedy wiem już, że moi bracia cierpieli w niemieckich i radzieckich obozach, a ja bawiłam się w dom z radzieckim oficerem.

Pod koniec maja 1941 roku, w okolicy rocznicy naszego pierwszego spotkania, Iwan wyjechał do Moskwy. Miał wrócić za miesiąc. Już nigdy się nie spotkaliśmy. 22 czerwca na wschód ruszyła armia niemiecka, zajmując i niszcząc wszystko na swojej drodze. Żołnierzy, którzy u nas stacjonowali, więcej nie zobaczyłam. Rosjanie cofali się pod naporem Niemców. W tym czasie zmarła też moja babcia, a ja i mama uciekłyśmy do rodziny w Starej Łomży, aby przeczekać toczące się walki.

Wiele lat po wojnie, czytając książkę „Droga przez mękę” Aleksieja Tołstoja, gdzie na tle wydarzeń rewolucji bolszewickiej w Rosji rozgrywała się trudna miłość Daszy Buławiny i Iwana Tielegina, lubiłam sobie wyobrażać, że on był moim Iwanem, a ja jego Daszą, których miłość była silniejsza od huraganu, szalejącego wówczas w Rosji, niszczącego wszystko na swojej drodze, a także nastawiającego brata

przeciwko bratu. On był moim Iwanem Wrońskim i panem Darcym. Śniłam o tym, że kochał mnie miłością szaloną i bezgraniczną. Nigdy już się nie dowiem, czy to była prawda.

Po wojnie wyszłam za mąż, założyłam rodzinę, ale przystojny Iwan Pietrow na zawsze pozostał w moim sercu. Był moim pierwszym mężczyzną, moją miłością, moim szczęściem.

Przez wiele lat myślałam, że mnie po prostu zostawił. Przecież wróciłby tutaj po wojnie, żeby mnie odszukać. Nigdy się nie zjawiał.

W latach 70. byłam na wycieczce w Moskwie, jego rodzinnym mieście. Zaczęłam się ukradkiem rozglądać po ulicy z nadzieją, że go spotkam. Marzenie...

Po 1989 roku dostałam z Moskwy list, napisany po rosyjsku. Wywołało to w domu poruszenie, nikt z nas nie znał nikogo z Rosji na tyle, aby wymieniać listy. Był od Eleny Iwaszkowej. Przedstawiła mi się jako siostra Iwana. Pisała, że bardzo długo szukała mnie po wojnie, ale nie wiedziała dokładnie, skąd jestem i gdzie dokładnie stacjonował jej brat. Dowiedziałam się, że Iwan najprawdopodobniej

zginął w Stalingradzie, gdzie został skierowany po wkroczeniu Niemiec w głąb Rosji. Jego ciała nigdy nie odnaleziono...

Wiedziałam już, że mnie nie zostawił. Może kochał mnie tak samo mocno, jak ja jego?

Staruszka schowała zapisane niezgrabnym pismem kartki do szuflady w biurku z myślą, że prędzej czy później ktoś ją otworzy i przeczyta tę historię. Może wtedy Diany Karkowskiej już nie będzie na świecie, ale pozostanie wspomnienie jej młodzieńczej miłości do Iwana Pietrowa.



KAROLINA ŻURAWSKA

– łomżyńianka i studentka historii na Uniwersytecie w Białymstoku, przez całe swoje życie związana z Podlasiem. Drugim obszarem jej zainteresowań jest literatura o szerokiej tematyce: od powieści historycznych Henryka Sienkie-

wicza, poprzez kobiecą twórczość Jane Austen, kończąc na nieśmiertelnych historiach miłosnych Lwa Tołstoja. W wolnych chwilach podejmuje własne próby pisarskie.

fot. Justyna Sawczuk